LOKALNIE · FELIETON

AMOK ‘22. Z DZIEJÓW GŁUPOTY W POLSCE

Jan Fiedorczuk · 10 lipca 2026

To polskie elity wybrały, że wobec Ukrainy będą ślepe głuche i nieme. Teraz płacimy za to cenę.

Nawet w 2022 roku, gdy losy Ukrainy jeszcze się wahały, Wołodymyr Zełenski potrafił twardo grać z Polską, forsując własne interesy i pokazując naszym władzom ich miejsce w szeregu. To polskie elity pozostawały ślepe, głuche i nieme, ignorując kolejne sygnały płynące z Kijowa. Dzisiaj, gdy relacje z Ukrainą są najgorsze od lat, oskarżenia powinny paść nie pod adresem Zełenskiego, tylko Andrzeja Dudy i Donalda Tuska, Mateusza Morawieckiego i Pawła Kowala, Pawła Jabłońskiego i Andrzeja Szeptyckiego. Dziesiątków publicystów i dziennikarzy, ekspertów i geopolityków, którzy bałamucili opinię publiczną. Ten tekst jest swoistą kroniką tego, jak Polacy ulegli ukrainofilskiej gorączce i zapomnieli o pojęciu racji stanu.

Niniejszy tekst ma dwa cele. Po pierwsze, przypomnieć, że Ukraina od samego początku inwazji prowadziła wobec Polski wykalkulowaną politykę transakcyjną, w związku z czym nie obserwujemy żadnej „zdrady” Zełenskiego, albo jakiegoś „antypolskiego zwrotu”. Możemy bowiem mówić jedynie o konsekwencji, a nie zmianie. Po drugie, chcę wskazać, jak polskie elity uległy emocjonalnemu amokowi oraz jak zapomniały o interesie narodowym, stawiając potrzeby Ukrainy ponad racjami Polski.

Podkreślmy też na samym początku, że tytułowy „amok” nie odnosi się do pomocy, którą państwo polskie zaoferowało Ukrainie w lutym i marcu 2022 roku, gdy europejskie stolice ospale czekały na rozwój wypadków. Celem tego tekstu nie jest złorzeczenie Ukrainie, tylko wskazanie polskich błędów, które nastąpiły po tych pierwszych, dramatycznych tygodniach od inwazji.

Ukraina prowadziła wobec nas politykę transakcyjną. Od samego początku

Zacznijmy od niepozornej i zapomnianej scenki mającej miejsce tuż po rozpoczęciu inwazji przez rosyjskie wojska, gdy to Wołodymyr Zełenski odrzucił propozycję Jarosława Kaczyńskiego dotyczącą wejścia wojsk NATO na Ukrainę w ramach „pokojowej misji”. „Nie potrzebujemy zamrożonego konfliktu na terytorium naszego państwa. Wyjaśniłem to na spotkaniu z naszymi polskimi kolegami. Wiem, że kontynuowali tę retorykę. Na szczęście albo niestety, to wciąż nasz kraj, a ja jestem prezydentem, więc my będziemy decydowali, czy będą tu inne siły” – stwierdził prezydent Ukrainy.

> Jest zatem sam początek wojny (bodaj marzec 2022 roku), Zełenski ma nóż na gardle, europejska pomoc dopiero startuje, losy Kijowa w dużej mierze wiszą na polskich władzach i lotnisku w Jasionce. Mimo wszystko, Zełenski nie waha się publicznie skrytykować swego najbliższego so-

> jusznika i pokazać mu jego miejsca w szeregu. To niepozorna scena, którą polskie elity – z lewa i prawa – powinny na długo zapamiętać, gdyż wyznaczyła ona ścieżkę, którą „sługa narodu" podążał w kolejnych latach.

Podobnych sygnałów świadczących o zdecydowanej polityce Kijowa było więcej – i to nie w 2023 czy 2024 roku, gdy relacje między naszymi państwami zaczęły się psuć. Było ich całkiem sporo już w samym 2022 roku.

Ot już zapomniana sprawa z samego początku wojny, gdy na przełomie kwietnia i maja Ukraina zaczęła domagać się od Polski 200 tys. zezwoleń na międzynarodowe przewozy ciężarowe, zaznaczając, że wykorzysta wszystkie możliwe mechanizmy, w tym – pozew sądowy. Mamy początek inwazji, a **Kijów grozi Polsce sądem**.

Do 2022 roku relacje z Ukrainą były kłopotliwe dla polskich władz, jednak rosyjska inwazja oznaczała punkt przełomu. Politykę wobec obcego państwa zaczęto postrzegać w kategoriach przyjaźni i sympatii, a nie interesów i racji stanu. Potrzeby Kijowa i polską rację stanu rozumiano jako pojęcia tożsame. I, oczywiście, w interesie Polski leżało to, aby Rosja nie podbiła Ukrainy, jednak z tego stwierdzenia nigdy nie wynikało, że wszelkie inne animozje między naszymi narodami wyparowały.

Zupełnie kuriozalnie w tym aspekcie wypada **sprawa tzw. ustawy sankcyjnej**, którą Polska przyjęła w kwietniu 2022 roku, aby nasz kraj mógł nakładać na Rosję sankcje niezależnie od decyzji UE. Europejskie obostrzenia bowiem dopiero wówczas raczkowały i nadal nie było pewne, w jakim stopniu Europa zaangażuje się w konflikt. Sejm odrzucił jednak poprawkę Senatu zakazującą **importu skroplonego gazu LPG z Rosji, gdyż polska gospodarka w znacznym stopniu nadal była oparta na imporcie rosyjskiego surowca. Jacek Sasin tłumaczył wówczas, że taka poprawka uderzyłaby w 3,5 mln polskich kierowców i znacząco podniosła ich opłaty.**

Ambasador Ukrainy w Polsce **Andrij Deszczycia** zaczął jednak wówczas szantażować polskie władze. „Trzeba wybrać: albo tańsze paliwo, albo życie walczących na wojnie" – stwierdził dyplomata. Polska zatem wychodzi z rozwiązaniami pozwalającymi jej uderzać w Rosję za pomocą większych sankcji niż UE i dostaje za to od Kijowa reprymendę niczym niegrzeczny uczniak. Żeby było śmieszniej, w momencie, w którym Deszczycia łajał polskie władze za import LPG, to Ukraina prowadziła interesy z Gazpromem.

Kijów bowiem aż do 2025 roku respektował umowę tranzytową, dzięki której Putin mógł sprzedawać gaz do Europy. A jednak polskie elity na to nie zważały, czego jednym z bardziej upokarzających przykładów była postawa marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który publicznie kajał się przed Ukrainą, że Polska mimo wojny dalej importuje rosyjski węgiel.

Ukraine First – tak brzmiało hasło, któremu wierni byli polscy politycy, eksperci i publicyści w tamtym czasie. To podejście zaowocowało wprost uderzaniem w polskie społeczeństwo, gdy np. nałożono sankcje na firmę Novatek Green Energy, w wyniku czego kilkanaście tysięcy Polaków zostało odciętych od dostaw gazu dostarczanego przez tę firmę. Wiceszef MSWiA Maciej Wąsik zdawał się być równie zaskoczony obrotem sytuacji, co mieszkańcy gmin pozbawionych dostaw.

> Grożenie sądem, „za słaba" ustawa sankcyjna, szantaż Deszczycy – te wszystkie przykłady pochodzą z pierwszych tygodni wojny, gdy losy Ukrainy się nadal wahały. Kijów od samego początku prowadził wobec Polaków politykę transakcyjną. To Polacy nie chcieli tego dostrzegać. Wypierali te sytuacje ze świadomości, szukali usprawiedliwienia, a nawet przepraszali Ukraińców, że są za mało proukraińscy.

Trudno też pominąć sprawę **tragedii w Przewodowie**, gdzie Wołodymyr Zełenski przez dłuższy czas nie tylko nie chciał przyznać, że to ukraińskie rakiety zabiły polskich obywateli, lecz także czynił niedwuznaczne kroki w kierunku wciągnięcia NATO do wojny. Prezydent Duda tymczasem skupił się na przekonywaniu opinii publicznej, by nie oskarżać Ukraińców, twierdząc, że śmierć polskich obywateli to de facto „wspólna tragedia" polsko-ukraińska...

To Polska zgodziła się zapomnieć o Wołyniu

Teraz przejdźmy do tematu Wołynia i banderyzmu, które tak rozpalają polską wyobraźnię w ostatnich tygodniach.

Podkreślmy: temat UPA i Wołynia nie wyskoczył magicznie w 2026 roku. Kwestia ukraińskiego ludobójstwa i polityki historycznej Kijowa przewija się w stosunkach polsko-ukraińskich od dekad. Pomijając być może Aleksandra Kwaśniewskiego, który w 2003 w obecności Leonida Kuczmy miał odwagę nazwać rzeź wołyńską ludobójstwem, polskie władze traktowały temat po macoszemu, swoim lekceważeniem szykując grunt pod bombę, która miała wybuchnąć.

Nasze elity, już po rosyjskiej inwazji w 2022 roku, ignorowały kolejne antypolskie poczynania Kijowa. Właśnie w tymże 2022 roku, Zełenski zdecydował o awansowaniu Andrija Melnyka na wiceszefa ukraińskiego MSZ. Melnyk, przypomnijmy, wsławił się relatywizowaniem zbrodni UPA oraz obroną Bandery. Dyplomata przekonywał, że Polacy byli „takimi samymi wrogami jak nazistowskie Niemcy czy Sowieci" i dokonywali na Ukraińcach czystek porównywalnych do skali Wołynia.

Ważniejsza od samego Melnyka była jednak reakcja polskich władz. Ówczesny minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak odważył się zwrócić uwagę, że nominacja to „zły sygnał", a z kolei rzecznik PiS Radosław Fogiel stwierdził, że jest to ze strony Kijowa „niefortunne". Prezydent Andrzej Duda dodał natomiast, że są to „suwerenne decyzje, które podejmują władze ukraińskie", pozwalając sobie na uwagę, że nowy wiceszef MSZ powinien douczyć się historii. Melnyk to jedynie pewien symbol polityki, która prowadziła do odbudowy muzeum Szuchewycza we Lwowie oraz nadaniu jednostce wojskowej imienia UPA.

Kijów przez kolejne lata odmawiał poruszenia sprawy ekshumacji – a przecież polska strona nie domagała się pokajania, wypłacania odszkodowań czy jakichkolwiek gestów; Chodziło jedynie o godne pochowanie polskich obywateli. Brak zgody na tak podstawową prośbę nie tylko wymownie świadczy o stosunku Kijowa do Warszawy, ale również pod względem *stricte* etycznym jest nieakceptowalny. Pamiętajmy, że w Polsce istnieją cmentarze nawet żołnierzy sowieckich i niemieckich z czasów II wojny światowej.

Ale wszak władze ukraińskie nie czuły się w żaden sposób naciskane przez Polskę. Jeżeli Paweł Kowal, człowiek odpowiedzialny de facto za odcinek ukraiński polskiej dyplomacji, stwierdza, że zbrodnia wołyńska „nie obciąża Ukrainy, bo to państwo nie istniało", to jakie zarzuty można mieć do Kijowa? Za-

chowujemy się jak drużyna piłkarska, która strzela do własnej bramki, a następnie ma pretensje do przeciwnika, że ten stosuje wysoki pressing.

Dość powiedzieć, że z relacji polskich dyplomatów, o których pisał Zbigniew Parafianowicz, wynika, że to właśnie Kowal miał wprowadzić de facto cenzurę w tych nielicznych miejscach, gdzie ukraińskie władze wydały zgodę na wstępne prace. Polski polityk miał blokować dziennikarzom dostęp do dołów śmierci, gdyż obawiał się, że zdjęcia zmasakrowanych ciał dzieci przedostaną się do opinii publicznej.

Mamy tutaj, jak się zdaje, niepisane porozumienie między PiS a KO, gdyż to Andrzej Duda pouczał i publicznie beształ śp. ks. Isakowicza-Zaleskiego za to, że ten upominał się o pamięć pomordowanych Polaków. To prezydent Duda, wprost powielał narrację Zełenskiego i twierdził, że w obliczu pomocy z 2022 roku, „cała historia jest nieważna". Że takie tezy głosił prezydent Ukrainy, jest to zrozumiałe i logiczne, ale że znalazł sekundanta w osobie głowy państwa polskiego, to jest to wręcz nieprawdopodobne.

> Całą sprawę pamięci o polskich ofiarach najlepiej podsumował w 2022 roku ówczesny doradca Wołodymyra Zełenskiego Aleksiej Arestowycz, który zdradził, że władze Polski wykazały się „dalekowzrocznością" w sprawie Wołynia, gdyż Warszawa miała „zgodzić się zapomnieć o tak zwanej rzezi wołyńskiej". Z jego słów wynikało, że to polskie władze same uznały, że jest to „zamknięta karta" w relacjach dwustronnych i że o tej sprawie „nie będziemy rozmawiać".

W emocjonalnym uniesieniu zdecydowano się złożyć na ołtarzu polsko-ukraińskich relacji sprawę pomordowanych na Wołyniu Polaków. Powtórzmy to z całą mocą – to nie Ukraina zmieniła swoje nastawienia do kwestii ludobójstwa, to nasze elity machnęły ręką na pamięć ofiar. Karol Nawrocki wydaje się pierwszym polskim liderem od czasu Kwaśniewskiego, który podnosi sprawę ludobójstwa na Polakach.

Zabawa w wojenkę

Wojna na Ukrainie nałożyła się na proces, który przetacza się przez polskie społeczeństwo w ostatniej dekadzie. Doszło do zmiany pokoleniowej i w Polakach dokonało się swoisty „ambicjonalne przebudzenie". W tym kluczu odczytywałbym popularność publicystów zajmujących się historią alternatywną oraz tzw. geopolityków kreślących wielkie plany: jedni pokazują, jak niewiele miało niegdyś brakować, by polskie oddziały stacjonowały pod Moskwą, drudzy twierdzą, że podobny scenariusz może się zrealizować w najbliższej przyszłości.

Po napaści na Ukrainę w Polakach odżyły dawne marzenia, przygasłe toposy odzyskały swe kolory, a w Warszawie, Krakowie i Gdańsku ponownie snuto plany o pobiciu Rosjan pod Lwowem, Kijowem, Smoleńskiem, Moskwą...

Pojawiła się grupa „jastrzębi", która wojnę na Ukrainie zaczęła postrzegać nie jako zagrożenie dla państwa polskiego, ale jako szansę. Symbolem tej grupy pozostanie dla mnie już Jan Rokita, który głosił w prowojennym uniesieniu, że „nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie". Otóż taka cena istniała – to cena bezpieczeństwa Polaków.

Tezy Rokity doskonale oddawały nastrój, jaki zapanował wśród sporej części publicystów, ekspertów i po-

lityków. Śp. generał Skrzypczak ledwie miesiąc po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji przekonywał, że obwód kaliningradzki jest „okupowany" i „warto się o niego upomnieć". Jeszcze mocniej wybrzmiały słowa byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego, który de facto opowiedział się za włączeniem Polski do wojny. „Jestem zdania, że wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji z Rosją, bo Rosja tej konfrontacji chce. A jeśli tak, to lepiej, by odbyło się to na naszych, a nie rosyjskich warunkach" – twierdził.

Mniej więcej w tym samym czasie, odbyła się słynna wyprawa do Kijowa, w której udział wzięli premier Mateusz Morawiecki, prezes Jarosław Kaczyński, premier Czech Peter Fiala oraz premier Słowenii Janez Jansa. To właśnie wówczas Kaczyński zgłosił wspomniany na początku pomysł „pokojowej misji NATO" na Ukrainie, której celem byłaby ochrona cywilów. Gdy samo NATO odrzuciło ten koncept, zaczęto w Polsce dywagować o jakiejś „koalicji chętnych". Zgodnie z tą ideą, państwa będące członkami NATO miałyby wysłać swoje oddziały na Ukrainę bez parasola ochronnego Sojuszu.

Przywołuję te wszystkie głosy, aby przypomnieć, jak bardzo postrzeganie wojny przez polskie władze odkleiło się od rzeczywistości. Marzono o rozpadzie Rosji i aresztowaniu Putina (słynne słowa prezydenta Dudy, że „Rosjanie przyjdą na kolanach prosić o pokój"), o budowie mocarstwa i wypchnięciu z regionu nie tylko wpływów Moskwy, ale również Berlina. Ot, dziejowa szansa, której nie wolno przespać. Pojawiały się analizy, że w wyniku wojny doszło do „geopolitycznego przetasowania", a Polska stała się „nowym środkiem ciężkości w Europie" itp.

Oczywiście rola Polski ze względu na położenie geograficzne faktycznie wzrosła, jednak był to wzrost pośredni – niezależny od nas. Tak jak nasza pozycja wzrosła niezależnie od naszych decyzji, tak samo niezależnie od nas spadła.

Niemiecki sprzęt jest ważniejszy od polskich otwartych serc

Ambicjonalne wzmożenie przejawiało się na wielu polach. Eksperci i rządzący politycy przekonywali, że polskie firmy będą odbudowywać Ukrainę, że staną się pionierami tego wielkiego projektu, że po wojnie do Polski popłyną miliardy złotych. W rzeczywistości nic nie wskazuje na to, by nasz przemysł i przedsiębiorcy mieli uzyskać jakiekolwiek lukratywne kontrakty. Jeszcze w 2022 roku podczas konferencji w Szwajcarii ówczesny premier Denys Szmyhal zaprezentował wstępny plan odbudowy kraju, z którego wynikało, że Polsce przypadłby obwód doniecki. Region znajdujący się na wschodnim skraju państwu, który był nie tylko okupowany, ale został wcielony do Rosji. Również niedawna konferencja w Gdańsku nie przyniosła szczególnie obiecujących rozwiązań (przynajmniej nie dla polskich firm).

> Relacje polsko-ukraińskie były bardzo dobre w roku 2022, gdy pomoc Polski była kluczowa. Jednak z każdym mijającym miesiącem rósł wkład państw europejskich i – rzecz jasna – USA w obronę Ukrainy. Nie miało znaczenia, ile proporcjonalnie (w stosunku do PKB) kraje się składały na pomoc, gdyż dla Ukrainy liczyła się pomoc w liczbach bezwzględnych, a tutaj Polskę deklasują nie tylko Stany Zjednoczone, ale także Niemcy, Francja czy Włochy. To, co nasz kraj miał do zaoferowania, to oddał, często za bezcen, w 2022 roku.

Otwarte serca Polaków dla uchodźców – piszę to bez ironii – nie znaczyły wiele dla Zełenskiego, gdyż na

froncie potrzebna była mu amunicja i drony, a nie informacja, że Ukraińcy otrzymali pesel i 800 plus. Z punktu widzenia samych Ukraińców w roku dajmy na to 2025 przychylność Berlina była pod każdym względem więcej warta niż wsparcie Warszawy. W Kijowie naprawdę nikt dzisiaj nie wspomina 5 tysięcy hełmów z 2022 roku.

Ukraina się z nami obecnie nie liczy, bo – gdy jeszcze pomoc naszego kraju miała znaczenie – przyzwyczailiśmy ją do tego, że dostaje wszystko, o co poprosi, za darmo. Wiceszef MSZ Paweł Jabłoński publicznie odcinał się od pojęcia „polityki transakcyjnej", nie chcąc dostrzec, że dokładnie w ten sposób Kijów postrzega Warszawę. Czasami to polskie zaślepienie przybierało wprost komiczny obrót, jak choćby w przypadku ponad 200 czołgów T-72, które Polska oddała Ukrainie, a o które następnie premier Morawiecki żalił się w trakcie spotkania z kanclerzem Olafem Scholzem w Berlinie. Swoją drogą, gdy szef rządu wystąpił do Brytyjczyków o uzupełnienie braków, to w sprawie interweniował... minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba, który lobbował, aby nowych czołgów nie przekazywać Polsce.

Kolejny przykład – może najmocniejszy ze wszystkich – to wystąpienie Zełenskiego na forum ONZ w 2023 roku, gdy już otwarcie łajał polskie władze, sugerując, że zakaz importu ukraińskiego zboża, to de facto działania sprzyjające Rosji. Po Przewodowie powinien być to drugi otrzeźwiający alarm dla Polaków. Naprawdę trudno bowiem mówić o jakiejkolwiek wolcie prezydenta Ukrainy. On od lat, regularnie i twardo stawiał interes swego kraju, cynicznie rozgrywając – na ile mógł – inne państwa. Nie udawał, nie dokonał jakiejś nagłej reorientacji w 2023 czy 2025 roku. To nasze władze uparły się, by pozostawać ślepe i głuche.

Zachwiana tożsamość, czyli państwo pod uchodźców

Fundamentalnym błędem, jaki popełniono, a w którym przewodziła wręcz polska prawica, była kwestia podstawowego rozróżnia między interesem polskim a ukraińskim. Na arenie międzynarodowej sprowadzało się to zjawisko do przypisania pojęcia polskiej racji stanu interesom Ukrainy, a w polityce wewnętrznej – odrzuceniem rozróżnienia „gość-gospodarz". Zacznijmy od tego drugiego punktu.

> Rozróżnienie na osoby stanowiące gości oraz gospodarzy jest punktem, na którym zasadza się idea państwa narodowego. Sam naród można definiować na różne sposoby, jednak kluczową kwestią jest stwierdzenie, że osoby, które uznajemy za naród-gospodarza są uprzywilejowane względem obcokrajowców.

Polskie podejście do tematu ukraińskich uchodźców ukazało, że straciliśmy to fundamentalne rozróżnienie – zarówno na poziomie politycznym jak i społecznym. Swego czasu OKO.Press opublikowało np. wywiad z nauczycielkami przerażonymi, że szkoła będzie polonizować uczniów z Ukrainy, co było doskonałym odzwierciedleniem paranoi strony lewicowo-liberalnej. Progresywne media twierdziły, że polski system „dyskryminuje uchodźców", gdyż ci są zmuszeni do pisania egzaminów w języku polskim. Pojawiały się w przestrzeni publicznej wezwania, by szkoły nie uczyły o ludobójstwie na Wołyniu, uczniowie nie byli egzaminowani z *Reduty Ordona* Adama Mickiewicza, albo nie zmuszano ich do lektury *Kamieni na szaniec*. Prof. Tomasz Schramm, przewodniczący Komitetu Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk,

apelował nawet, by przerwać konkurs historyczny poświęcony zbrodni na Wołyniu. Podobne przykłady można mnożyć i mnożyć.

Przejawem tego zauroczenia uchodźcami i porzucenia etycznego kompasu była głośna propozycja byłego ambasadora na Łotwie i w Armenii Jerzego Marka Nowakowskiego, który opowiadał się za stworzeniem wielonarodowego organizmu politycznego i odrzuceniem endeckiego rozumienia państwa. Nowakowski domagał się porzucenia pokojowej asymilacji mniejszości narodowych, a w zamian proponował ich „integrację". Jak pisał, w tym celu powinny powstać całe „organizacje ukraińskich inżynierów, lekarzy, kluby rodziców i dziesiątki innych form organizacji życia społecznego". Mówiąc wprost prowadziłoby to do gettoizacji i stopniowej radykalizacji mniejszości. Podobnych pomysłów było więcej – Adam Bodnar na przykład domagał się nadania ukraińskim imigrantom prawa do uczestnictwa w wyborach samorządowych. Takie same postulaty zgłaszał zresztą Mirosław Skórka, prezes Związku Ukraińców w Polsce.

Uchodźcy w Polsce otrzymali szereg daleko posuniętych udogodnień, a masowa migracja do Polski uruchomiła długofalowe procesy wpływające na strukturę narodowościową państwa. Uchodźcy objęci specustawą otrzymywali większość świadczeń rodzinnych na podobnych zasadach jak Polacy – w tym m.in. 800 plus. Było to jasnym zaburzeniem zdrowej hierarchii i naturalnego rozróżnienia na Polaków i gości, co musiało w konsekwencji prowadzić do cichego narastania niechęci wobec przybyszów.

Czym innym jest bowiem pomoc osobom uciekającym przed wojną, a czym innym traktowanie ich jak własnych obywateli. Brak tego rozróżnienia objawił się choćby w postawie Pawła Kowala, który na początku 2024 roku, gdy miały miejsce protesty przewoźników, stanął po prostu po stronie ukraińskich przedsiębiorców.

Poseł KO ponaglał wówczas Polaków, by natychmiast zakończyli protest. „Jest to mniejszościowa grupa, która zablokowała granicę w warunkach wojny, stworzyła ogromny korek, polskie państwo stoi obok. Osoby, które powinny mieć rozwinięty swój biznes, polski, kontrolują inne samochody... No nie wiem, czy można jeszcze bardziej stworzyć sytuację, gdzie wóz stoi przed koniem" – twierdził w rozmowie z TVN24.

Państwo polskie nie potrafiło wypracować długofalowej strategii w tym zakresie. Imigranci mieli jednocześnie wypełnić lukę na rynku pracy, uratować polski system emerytalny, polską demografię itd.

Ledwie kilka tygodni temu „Rzeczpospolita" donosiła, że w Polsce śmiało poczyna sobie ukraiński wywiad, który po prostu werbuje Ukraińców pracujących w urzędach i firmach, by ci szpiegowali polską administrację i przedsiębiorstwa. Kijów czuje się tak pewnie, że ponoć próbuje nawet werbować Polaków, którzy udają się na Ukrainę z pomocą humanitarną.

Możemy się rzecz jasna oburzać na naszych sąsiadów, że to bezczelność w obliczu całej okazanej pomocy, ale taka postawa jest dosłownie zobrazowaniem popularnego mema „Old man yells at cloud" z serialu Simpsonowie.

> To polskie władze nie stosowały rozróżnienia między narodem własnym a obcym, to polscy politycy krzyczeli o rasizmie, gdy się wspominało o konieczności weryfikacji osób zatrudnionych w urzędach pod względem narodowości.

Zachwiana tożsamość, czyli prawica postnarodowa

Drugim przejawem zachwiania tożsamości były fantasmagorie na temat powołania wspólnego organizmu politycznego z Ukrainą. Obudzone ambicje Polaków zaowocowały marzeniami o odwróceniu geopolitycznego fatum wiszącego nad Europą Wschodnią, co wiodło niektórych Polaków do planów quasi-mocarstwowych. Wojnę traktowano jak grę, zagrożenie na wschodzie jak wielką szansę.

Już na samym początku wojny, gdy jeszcze pod Kijowem przetaczał się front, polscy geostratedzy, myśliciele i inni publicyści dywagowali o potrzebie powołania ponadnarodowego tworu, który umożliwi Polsce realizację jej mocarstwowej misji. Tak jak liberałowie najchętniej rozpuściliby Polskę w unijnym morzu europejskich wartości, tak samo prawica zamarzyła o anihilacji polskiego państwa narodowego i powołaniu jakiegoś rodzaju federacji.

Głośno było tutaj oczywiście o planach Marka Budzisza, który o państwie polsko-ukraińskim rozprawiał w swojej publicystyce, nie był jednak jedynym. Podobne tezy wygłaszali Tomasz Terlikowski, Marek Jakubiak czy Romuald Szeremietiew. Ale przecież takie operetkowe plany również snuł prezydencki doradca prof. Andrzej Zybertowicz, który dywagował nad tym, czy koncepcja unii polsko-ukraińskiej „nie mogłaby być wspaniałą przygodą (sic!) dla pokolenia młodych ludzi". Sam Andrzej Duda z kolei stwierdził, że „między Polską a Ukrainą w przyszłości nie będzie granicy", co oczywiście trudno uznać za postulat budowy wspólnego państwa, ale dobrze oddawało infantylne postrzeganie relacji międzynarodowych przez głowę państwa.

Z drugiej strony sceny politycznej z kolei Jan Krzysztof Bielecki oraz Paweł Kowal postulowali zawarcie specjalnego paktu między Polską i Ukrainą, przewidującego „obligatoryjne wspólne posiedzenie rządów obu państw raz na dwa miesiące oraz wspólną sesję Sejmu i Rady Najwyższej raz w roku".

Najśmieszniejsze, że strona ukraińska nie wystosowała w ogóle żadnego odzewu w sprawie zbliżenia z Polską. Nad Wisłą tworzono wielkie wizje dotyczące Ukraińców, którzy tychże geopolitycznych wizjonerów mieli w nosie.

Dzisiaj jak na dłoni widać, że te wszystkie federacyjne pomysły nigdy nie miały szans się urzeczywistnić, że rozbieżność interesów gospodarczych, narodowych narracji, wspólnotowych mitów i tożsamościowych meandrów – jest zbyt wielka, by marzyć o takim zbliżeniu.

> Prawdziwym dramatem był fakt, że wystarczyło kilka uśmiechów Zełenskiego, kilka ładnych ogólników o przyjaźni i regionalnym mocarstwie, by sporo głośnych postaci polskiej prawicy zaczęło podważać narodowy charakter państwa polskiego. Był to całkowity upadek konserwatywnej strony.

Dla Polaka polityka jest jak mecz

Ktoś napisze kiedyś książkę pt. *Zaślepieni Ukrainą*, opisując, jak w pierwszych kilkunastu miesiącach po rosyjskiej inwazji Polacy potwierdzili wszelkie najgorsze stereotypy o naszym uczuciowym postrzeganiu polityki, jak emocje odebrały polskim elitom chłodny ogląd sytuacji.

> Polak nie myśli o polityce, on ją przeżywa. Jak mecz, jak poezję. Żyje nią, nie potrafiąc analizować. Nie rozważa argumentów, tylko stosuje moralną licytację. Słowo jest tu wszystkim, dywagacje o wartościach zastępują szable. Na tej biednej ziemi rozum polityczny jest jedynie przechodniem. Miejscowi przyglądają mu się z konsternacją, by po chwili wrócić do swej codziennej młócki.

Ktoś napisze kiedyś książkę o tym, jak Polacy zapomnieli o tak podstawowych pojęciach jak „interes narodowy" czy „racja stanu", jak utożsamili potrzeby Polski z potrzebami Ukrainy; jak marzyli o wielkiej historii kosztem szarej codzienności, ba, jak niektórzy pchali własny kraj do konfliktu z Rosją; jak forsowali przyjęcie Ukrainy do zachodnich struktur bez względu na to, jaki wpływ będzie to miało na państwo polskie; ktoś napisze kiedyś książkę, jak prawica polska zapomniała nagle o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu, jak uznała historię UPA za „zamkniętą kartę" w relacjach dwustronnych, ale również jak radośnie włączyła się w dewastowanie własnego państwa narodowego, nie rozróżniając między polskimi a niepolskimi obywatelami; ktoś napisze kiedyś książkę o tym, jak polskie elity wiedzione jakimś zupełnie irracjonalnym poczuciem misji podporządkowały polską politykę hasłu „Ukraine first!". Ciężko tu mówić o naiwności, infantylizmie czy prostoduszności Polaków. Głupotę nazywajmy głupotą. I nie pozwólmy, by ludzie głupi mogli ponownie decydować o losach Polski.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=-QMoQzvG-10

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/amok-22-z-dziejow-glupoty-w-polsce/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć